OPIEKUN DOMOWY

№ 13.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.

Warszawa, dnia 17 (29) Marca 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w War... kop. miesięc... Prowincji: r... kwartalnie (... ści się już opł... towa: za przes... 11¼, oraz ... wanie i ekspe... 33¾). **Skład głów...** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

SPRAWY RZEMIEŚLNICZE.

Przykremi są czasem porównania;—a przykrość tém dotkliwiéj czuć się daje, jeżeli przedmiot przykrość wzbudzający jest swojski, jest rodzinny i pomyślności naszéj przeciwny. W *Gazecie Polskiéj* z dnia 17 marca r. b. czytamy: „Nowe prawo fabryczne szwajcarskie zawiera, co się tyczy młodzieży szkolnéj, następujące rozporządzenie: § 2. Nie wolno dzieci używać w fabrykach, jeżeli nie ukończyły szkoły elementarnéj. Przed 14-m rokiem życia nie powinny w fabrykach pracować dziennie więcéj jak 6 godzin. Daje się rządowi upoważnienie, postanowić wyższy wiek jako warunek przyjęcia do fabryki, jeżeli istota przemysłu, albo sposób zatrudnienia i pracy w nim, mogłyby narazić fizyczny rozwój dzieci. W żadnym wypadku nie wolno fabrykom ukracać czasu na naukę prawnie przeznaczonego, a pracownikom, którzy po ukończeniu szkoły ludowéj chcą się kształcić daléj w szkole przemysłowéj lub innym podobnym instytucie, trzeba wyznaczyć do tego czas odpowiedni."

To z jednéj strony. Z drugiéj zaś strony czytamy w *Zorzy* z d. 19 marca t. r. następujące dwa ciekawe szczegóły: *Pierwszy*: „Przychodzi nam także na myśl uskarżanie się wielu robotników fabrycznych na częstokroć niewłaściwe ujmowanie im zapłaty. Tłumaczymy się jaśniéj: na każdą robotę zarząd fabryki kładzie robotnikowi cenę, którą tenże powinien otrzymać po ukończeniu roboty; tymczasem prawdą jest niezbitą, że gdy robotnicy prędzéj uskutecznią robotę, już to w skutek usilnéj staranności, lub większéj wprawy albo zdolności, to fabryka zniża im cenę, czyli zapłatę, to jest, robi tak zwany z niemiecka *Abcug*, a po polsku strącenie. Tak być nie powinno. Działanie podobne szkodę wyrządza nietylko robotnikom, lecz i samym właścicielom, gdyż przez to robotnicy tracą ufność w przewodniczących i pracę wykonywają wolniéj, co jest wielką stratą dla tych zakładów fabrycznych, które zawierają umowy o rychłe dostawy swych wyrobów, jak np. dla fabryki pp. Lilpopa i Raua."—*Drugi szczegół*: „Mimo ojcowskiego wogóle naszych majstrów i przełożonych obchodzenia się z uczniami, po warsztach i drukarniach, — zganić tu musimy publicznie, obejście się z terminatorem Antosiem Orzechowskim, który tak zbity został przez maszynistę, że go do matki przyniesiono prawie bez duszy; dostał bowiem wielkiéj choroby. Podobnie zachorował Walenty K. syn biednéj wdowy, (pod Nr. 518/9 zamieszkały) ze złego z nim obchodzenia się.'



Krajobraz Ukraiński.

Prawda, że to nie bardzo przyjemnie dowiedzieć się jednego dnia, jak tam gdzieś w dalekiéj obczyznie jest prawo, które daje pierwotne wykształcenie biednemu uczniowi rzemieślniczemu, które osłania go od wycieńczenia młodocianych sił fizycznych, które zabezpiecza mu możebność wyższego wykształcenia — a jednocześnie wyczytać i mieć to przekonanie, że tak jest w istocie, iż u nas wielu robotnikom, *dla tego że prędzéj wykonywają daną robotę*, strącają z zapłaty im należnéj — i że u nas są tacy majstrowie i przełożeni warsztatów, którzy bezkarnie biją powierzonych sobie uczniów, aż do pozbawienia ich zmysłów. Oburzają się u nas, gdy drogą pism

przedstawia się do uznania opinji publicznéj postępowanie majstrów z uczniami i cały przebieg tak zwanych terminów rzemieślniczych, po upływie których, zamiast zwiększonéj liczby ludzi pracy, siły, nauki i sumienia — zwiększa się ilość po największéj części skarłowaciałych fizycznie, umysłowo i duchowo istot, które następnie uczą młodsze pokolenia tego wszystkiego, czego się sami nauczyli, a raczéj nie douczyli i każą im cierpić to wszystko co sami przecierpieli. Majstrowie skarżą się na brak dobrych czeladników. A któż to kształcił tych czeladników, jeżeli nie ci sami w skargi uderzający majstrowie? Kto ich uczył zasad moralności, jeżeli nie oni sami? któż dbał o ich wykształcenie umysłowe i fachowe jeżeli nie majstrowie? któż to miał wpajać w nich poczucie obowiązku względem siebie, drugich i kraju całego, jeżeli nie oni, którzy wiekiem i stanowiskiem mieli być opiekunami i przykładami uczącéj się u nich młodzieży? Jestem pewny, że majster uczciwy, porządny i chętny dla ucznia, wyzwoli go na czeladnika sumiennego, trzeźwego i przynajmniéj tyle umiejącego co i sam majster. A jeżeli jest czeladź pijacka, nieuczciwa, nierozsądna i mało co umiejąca, to zpewnością spędziła ona swą młodość u takich majstrów, którzy i pracę niebardzo miłowali i dróg sumienności niezbyt strzegli i od kieliszka niezawsze stronili. Mają więc dzisiaj zapłatę za to, że nie spełniali jak należy swych obowiązków.

Przed kilku laty, kiedy przedstawialiśmy wiele niestosownych i gorszących zwyczajów, połączonych z terminami i wyzwolinami— podnosiły się głosy wykazujące całą korzyść jaką uczeń ciągnie z ojcowskiéj opieki majstra, w czasie terminu. Nie przeczymy, że uczciwy majster spełnia swe obowiązki gorliwie — ale czy wszyscy są rozumni, beznamiętni, ludzcy? Jeżeli więc są pewne kary dla czeladzi nie bywających na mszy, na procesyjach, w gospodzie—dla terminatorów chodzących z laskami, w kapeluszach, lub tym podobnych rzeczach—czyżby panowie majstrowie nie włożyli pomiędzy sobą prawa na siebie, że za każde wykroczenie przeciwko uczniowi, zapłacą na rzecz założenia np. wyższéj szkoły rzemieślniczéj, pewnego zastosowanego do czynu—sztrafu? Byłoby to ze strony majstrów bardzo szlachetnie, bardzo postępowo—i zaręczam, że po kilku latach mielibyśmy z kar wcale niezły fundusz na jaką szkołę techniczno-praktyczną—a sami majstrowie odzwyczailiby się od postępków względem swéj młodszéj braci.... na które choć milczy prawo pisane—ale oburza się prawo natury, sumienia i prawo Boże.

Aleksander Makowiecki.

MODNE WODY.

(GAWĘDKA.)

Słuchaj sąsiedzie:—ot, kaduk nadał,
Byłem coś słaby zeszłéj jesieni.
Myślałem że się to wszystko zmieni,
Zwłaszcza żem rzeczy pożywne jadał,
Tymczasem jéjmość głowę mi suszy,
Żem schudł, zmizerniał, że ledwie chodzę,
Że jem zamało, że się zagłodzę,
Że nie szanuję ciała i duszy.
Tfu, tam do kata, szeptałem sobie,
Gotowi wmówić że leżę w grobie—
Żem nieboszczykiem. Nie, jako żywo!
Toć przecie czuję życia ogniwo...
Patrzę w lusterko, wyglądam dzielnie,
Macam się, stąpam, chodzę jak zdrowy,
Łamię na drzazgi kołek dębowy,
Mam i apetyt, spijam piekielnie,
Tylko mi humor zginął u licha.
A kto tam pozna z jakiéj przyczyny,
Ta rzeźkość myśli z człowieka czmycha?
Wiatr, pogrzeb, słońce, czarne godziny,
Jedno słóweczko, mrugnienie oka,
Twarz ci rozjaśni albo zachmurzy,
Niby ulewą deszczu wśród burzy,
Albo promieniem jasnym z wysoka.
Strzel w łeb mosanie, mnie brak humoru,
Brak pogawędki, ludzi, sąsiada,
A tu mi jéjmość biada i biada,
I lamentuje około dworu,
Jakobym panie był bardzo słaby.
Czego nie zrobią te nasze baby!
Wmowi, przekona, a jak nie może,
To się uśmiechnie, niby to zorze,
Pogłaszcze łapką, przytupnie nóżką,
Zrobi grymasik, albo zapłacze,
A gdy raz serce ci rozkołacze,
To już zostajesz jéj wiernym służką.
Tak się też stało i ze mną panie.
Raz gdy skrewiłem jej na śniadanie,
Rzekła, że trzeba mi zagranicę
Wyjechać do wód, ratować zdrowie...
Nie mógłem sobie pomieścić w głowie,
Po co tam jechać, mając krynice
Swojskie a dobre, mając Nér, Prosnę,
Bug, Wisłę, Wartę, jezior bez miary,
Przytém powietrze, niebo jak wiosnę;
Lecz coż, trza robić czasem ofiary,
Z swéj własnéj woli, na rzecz spokoju,
I domowego ogniska zgody.
A choć do tego obcego zdroju,
Ciągnęła jéjmość poczęści z mody,
Niby kapryśne młodziutkie dziecię,
Wkońcu, chcąc nie chcąc, przystałem przecie.
Minęła jesień, zima i wiosna,
Ziemia pokryła się łąk kobiercem;
Jéjmość chodziła żwawa, radosna,
A ja z bijącém czekałem sercem
Chwili wyjazdu, gdzieś aż do Wiszy.
Nareszcie przyszedł ów dzień podróży.
Służba nas żegna, w milczeniu, w ciszy,
Ten, ów zapłacze, ten oko zmruży,
Pakują kufry, pudła, tłumoki,
Że aż się pojazd piętrzy w obłoki.
Ja klę i spluwam, zrzędzę, marudzę,
Grożę téj Wiszy i zagranicy,
Tutaj nas żegna lud, domownicy,
Tu dom polecam wiernemu słudze,
Nakoniec siadłszy w bryce przy żonie,
Kazałem ruszyć i zaciąć konie.
Stało się—basta. Dopiero w drodze
Jął mi frasunek dokuczać srodze,
Żem ja na lada chęć białogłowy,
Na lada upór, był tak gotowy,
Taki powolny, jak mazgaj jaki.
Nuż sobie tedy rozbierać w głowie,
Czy też szwankuje co moje zdrowie?
Lecz nie, nie widzę żadnéj oznaki,
Żadnéj niemocy nie czuję w ciele.
O, mościa panno, tego zawiele,
Szepnąłem w duchu. Nie, nie pozwolę,
Żeby mnie za nos wodzić po świecie,
Bym zagraniczne wymiatał śmiecie,
Cóż to ja błazen, albo pacholę?...
Jednakże myślę, co za przyczyna,
Że mnie w tę podróż wiedzie niewiasta?
Myślę i myślę... ha—moja wina!
Wszystko to z nudów—z nudów—i basta.
Tak panie—z nudów. Człowiek na roli
Osiadł oddawna i krajał skiby,
Siał, orał, sprzątał, a tak powoli
Zdziczał jak leśne omszone grzyby.
Bo oprócz swego domu i sioła,
Już nic nie widział prawie dokoła.
Ni to do miasta, ni do sąsiada,
Gdzie się to człowiek z serca ugada,
Nie wyruszałem ni razu prawie.
A co tu mówić mi o zabawie,
Kiedy i sąsiad także wzajemnie,
Widząc odludka, żył sam bezemnie.
Więc w cztery oczy tylko z jéjmością,
Przyszło nam siedzieć przez parę latek.
(Bo Bóg odmówił pociechy z dziatek.)
A choć to dobrze żyć jest miłością,
Lecz oprócz serca, soli i chleba,
Człeku i ludzi także potrzeba,
By się nagadać, naśmiać do woli,
Odkryć co cieszy, rani i boli;
A tu, tfu, panie, człek aż się sroma,
Jednéj gazetki, jednéj książczyny,
Żadnego pisma nie było doma.
Więc tedy z mojéj powiadam winy,
Jéjmość się nudząc przez długie lata,
I widząc że sam tracę humory,
Wmówiła we mnie żem bardzo chory,
I teraz ciagnie gdzieś na kraj świata...
Po kiego djabła, gdym zdrów mosanie,

Jak smok, jak dębczak. Ha, myślę sobie,
Człek zawsze głupi. A to skaranie...
Dobrze ci bratku, tak, dobrze tobie,
Pij, gdyś kwaśnego nawarzył piwa;
Trza być człowiekiem, tak zawsze bywa.
Lecz co tu robić—jechać czy wrócić?
Z jéjmością musiałbym się pokłócić...
Ha, jedźmy daléj. Więc panie święty,
Jedziemy jeden dzień, drugi, trzeci,
Wyglądam strasznie, jak z krzyża zdjęty,
Serce za domem dziw nie wyleci...
Aż dnia czwartego, jakoś o zmroku,
Stajemy we wsi już na granicy.
Słuchaj sąsiedzie, łzę miałem w oku,
Gdy przyszło żegnać próg méj ziemicy...
Kiedy pomyślisz że po za sobą
Zostawiasz braci—człeku, czart z tobą,
Gdy nie zapłaczesz rzewnemi łzami,
Mając naokół nieznane niemce,
Nieznane twarze i cudzoziemce,
Obcy, jak orzeł między wróblami.
Wjeżdżam za kordon, patrzę za siebie,
Wioska powoli z oczu nam znika,
Bydełko ryczy koło strumyka,
Bocian, jaskółka, toną gdzieś w niebie,
Rozstajne drogi, słomiana strzecha,
Wszystko to niknie, niby te echa
Znajomych, świętych dla duszy głosów.
Wtém dzwon zahuczał z kościelnéj wieży,
Na *Anioł Pański*,—jakby z niebiosów
Bóg się odezwał na pożegnanie.
Chciałem się modlić, ale pacierzy
Związać w modlitwę nie byłem w stanie.
Myślałem że mi serce się skruszy!
Słuchaj sąsiedzie, takiéj katuszy,
Nie życz nikomu... Zwolna, pomału,
Poczułem w sobie iskrę zapału,
Męztwa, energji, mocy i hartu.
Stój! stój, nawracaj! jedźmy do domu!
Krzyknę co siły... Jéjmość się kręci,
Burczy, ociera łzy pokryjomu;
Lecz choćby nawet i wszyscy święci
Chcieli mnie wstrzymać, zatrudne, panie,
Byliby mieli ze mną zadanie.
„Jedziemy nazad, imość—i basta.“
A że to dobra była niewiasta,
Więc widząc żem się postawił jeżem,
Umilkła, jakby mowy nie miała.
Byłem szczęśliwy, twarz mi pałała,
Jakbym się cnoty okrył puklerzem.
— Nie, nie pozwolę, rzekłem do żony,
Gdym znów swéj ziemi zobaczył progi.
Po co nam obce odwiedzać bogi,
Gdy własny ołtarz mamy wzniesiony?
To zbrodnia panie, żeby szlachcice,
Pod maską zdrowia trwonili mienie,
Zwiedzając modne źródła, krynice,
I obciążając grzechem sumienie.
Chorujesz bratku, masz swoje wody,
Zdrowe, przeczyste, niby kryształy.
Tu nie ogarną cię modne szały,
Które nam tyle przynoszą szkody,
Między zwyczaje i obyczaje.
Tu poznasz swoje lasy i góry,
Stare zamczyska, odwieczne mury,
Stare świątynie, rodzonych braci,
A to się panie przecie opłaci.
Tfu, i mnie jeszcze na takie lata,
Chciało się pędzić gdzieś na kraj świata,
Do jakichś Wiszy! O niechże, Chryste,
Raz mnie opuszczą myśli nieczyste—
Nie chcę—i basta. Moja w tém wina,
To też naprawię złe jako mogę.

Ledwiem się dostał na dobrą drogę,
Dwór jakiś błysnął. Ej, idzie ślina,
Wstąpić—nie wstąpić?... Wstąpić—i kwita.
Toć przecie każdy po mnie wyczyta,
Żem brat i z Bogiem. Wjeżdżam w podwórze,
A tu mi huknie głos koło ucha:
Jak się masz, Bóg cię zsyła Mazurze!
Patrzę kto taki—to Zawierucha,
Szkolny koleżka, tuż jego żona,
Przy niéj córeczki śliczne jak łanie.
O chwilo, bądźże błogosławiona!...
Słuchaj sąsiedzie, nie jestem w stanie
Opisać onych szczerych radości,
Którem napotkał przy mym odwrocie,
Ni tych słów ciepłych, ni gościnności,
Ni tego hołdu prawdzie a cnocie,
Nie—nie opiszę. Dosyć ci powiem,
Że dwa tygodnie z dworu do dworu,
Pełen dobrego zawsze humoru,
Jeździłem wesół, z najlepszém zdrowiem.
I odtąd właśnie grunt mojéj strzechy,
Zmienił się w eden życia, pociechy,
Bo i brat u mnie i ja u brata,
Odwiedzaliśmy wzajem podwórza,
Aż wypiękniała ta ota chata,
Niby pod tchnieniem Anioła Stróża.
A jejmość panie, cna białogłowa,
Ujrzawszy że jest życie w zagrodzie,
Już ani myśli o modnéj wodzie,
I zawsze z raczkiem, wstydząc się, chowa,
Gdy jéj przypomnę tę zagranicę.
Nie zna już nudów: ma dwie gazety,
Ma nawet książkę często na wety,
I mile słucham gdy mi stronnicę,
Jednę i drugą nieraz przeczyta.
Ach mój sąsiedzie, szczęście to cnota,
Tylko téj cnocie otwórzmy wrota,
A djabeł nie tak straszny i—kwita.
To co człek z własnéj nabroił winy,
Z własnéj naprawić powinien chęci;
Więc niech się święcą poczciwe czyny,
A to co pachnie złém, niech nie nęci.
Dixi—skończyłem, jeślim cię znudził,
Daruj, człek stary, radby marudził.
Starość nie radość, dobrze wiesz o tém,
A pogawędka staremu rajem.
Gawędźże i ty mnie co nawzajem,
A ja ci znowu powiem co potem.

Franciszek Gumowski.

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI,

1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(*Dalszy ciąg*).

U *Drenbowéj* każdy statek zaopatruje się w przewodników, bez których kroku jednego nie odważy się zrobić daléj. Podróż tą cieśniną, piętrzącą się po obu stronach górami i nagiemi skałami, do kilkuset stóp wysokiemi, wijącą się przytém w licznych zagięciach, potrzeba zaliczyć do najpiękniejszych. Na każdym kroku może podróżny znaleźć tu coś nowego, coś niespodzianego, co zarówno, jak swą nadzwyczajnością, tak i pięknością dziką oczarowuje zmysły i zachwyca wyobraźnię. Dziwnie uroczystego doznaje się wrażenia, gdy tak płynąc, spostrzega się naraz że się jest zamkniętym jakby w olbrzymiéj jakiéj studni. Na lewo i na prawo w pionowym kierunku wznoszą się nagie, poszarpane skał ściany, za nami też same ściany zasuwając się jedna za drugą, tworzą szczelne zamknięcie; przed nami... tajemnicza, kryjąca się i ginąca w głębi wąwozu — droga do jakiegoś zaczarowanego kraju, w świat bajki i legendy. Płyniemy. Lecz świat ten czarodziejski zdaje się uciekać przed nami, czy może my stoimy na jedném miejscu, gdyż z zaklątego obrotu skalistych ścian rozstępujących się przed nami, a zamykających się za nami, wyjść nie możemy. Cyt! jakiś huk daleki, przytłumiony i niewyraźny, jakby z pod ziemi wydobywający się, dochodzi naszych uszu. Co to jest? co znaczy ten huk? Statek wchodzi w coraz nowe zagięcie rzeki, huk staje się coraz donioślejszym, niemniéj zagadkowym. Naprózno wysyłamy wzrok na zwiady —odbity od szarych skał, wraca napowrót zniecierpliwiony i niecierpliwiący się... ostatni zakręt przebywamy—jesteśmy w miejscu zagadki. Jestto wodospad *Islaski*. Wierzchem skał, których łyse czoła wystają z pod wody, przewala cały Dunaj, pieniąc się, kłębiąc i z wściekłym rykiem uderzając w zaporę, co mu legła w poprzek jego drogi. Wo

dospad ten tworzy szereg skał, sięgających aż do saméj powierzchni wody. Między temi skałami jest wązki kanał, dwadzieścia stóp szeroki, przez który jedynie przechodzić mogą statki. Jestto najniebezpieczniejsze na całym Dunaju przejście.

Przebywamy je szczęśliwie i coraz się zbliżany do miejsca, w którém Dunaj jest tak wązki, że mimowolnie powstaje obawa, ażali statek zdoła się tędy przecisnąć; skała bowiem Grebeń, z prawego brzegu ostro wrzynając się w rzekę, zdaje się dotykać brzegu przeciwnego. Nowa niespodzianka i nowe zdziwienie. Zaledwie że wyszliśmy z cieśniny *Grebień*, nie więcéj jak kilkanaście stóp szerokości mającéj, wpływamy odrazu na ogromny obszar wód, niby na jezioro jakie. W tém miejscu rozszerza się Dunaj na tysiące stóp.

Przed nami leży wyspa *Porec*, sławna z obrony *Chadzi-Nikola*, za Karadziordzia, przeciwko Turkom. Mijamy ją i oto jesteśmy u *Milanowca*, kresu naszéj wodnéj Odysei. Powstaje ruch na statku, każdy zbiera swe manatki i czeka niecierpliwie aż statek przybije do brzegu. Bieganie i krzyki służby statkowéj, donośne rozkazy kapitana, świst pary, zmniejszający się i ustający w końcu ruch kół, zapowiadają zbliżanie się statku do pomostu i zatrzymanie się go. Tłumem cisną się wszyscy do wyjścia. Między nimi nie byłem ostatni.

Zaledwie żem krok postawił na ziemi — aliści z jednéj strony krzyczą do mnie: *gospodynie*, *wasze stwari*! z drugiéj: *gospodynie*, *wasz pasosz*! Były to głosy *hamały* (tragarza) proszącego, bym mu dał rzeczy swe do niesienia i *pandura* (policyanta), zapytującego o paszport. Uspokoiłem tego ostatniego, oświadczywszy mu, że przybywam wprost z Belgradu; pierwszemu zaś oddawszy tłumoczek, zapowiedziawszy, że dostanie suty *bakszysz* (poczesne), jeżeli mię zaprowadzi do najlepszéj w mieście *mchany* (zajazdu).

Milanowac nie leży na samym brzegu, lecz nieco opodal. Po dziesięciu minutach drogi na pieszo, wprowadza mię mój przewodnik do najlepszéj mchany w Milanowcu. Na widok téj najlepszéj mchany, westchnąwszy głęboko, powtórzyłem w duchu ową zbawienną maksymę: „nie sądź z pozoru," i wszedłem wewnątrz do wielkiéj sali, przeznaczonéj dla odwiedzających gości, którzyby chcieli zagrać w karty, napić się wina lub piwa, lub też zjeść kawał baraniny pieczonéj. Wybiega naprzeciwko mnie mała, ruchliwa, o niespokojnych ruchach, biegającém oku, figurka, zapytując czego żądam.

— Żądam pokoju, ale dobrego pokoju (liepa soba).

— Proszę za mną.

Korytarz na który weszliśmy gorzéj jeszcze podziałał na moję wyobraźnię, jak sama zewnętrza domu postać. Pominąwszy kilkoro drzwi, które rzędem poumieszczane były w ścianie korytarza, otwiera środkowe: „oto jest jedyny pokój, jakim mogę panu dzisiaj służyć; jutro będę miał lepszy."

— Dziękuję, ja dziś potrzebuję lepszego pokoju, gdyż jutro rano odjeżdżam.

— Innego nie mam.

Nie ma co robić, wchodzę, każę wnosić me manatki, a tymczasem rozpatruję się po pokoju. Podłoga brudna, ściany odrapane, brudne, przedstawiające się jak jedno wielkie gniazdo pluskiew.

Łóżko z pościelą, w które się kładąc nie mniejszéj potrzeba rezygnacyi od téj, z jaką ś. p. Regulus właził w beczkę nabitą ćwiekami.

— Musisz mi zmienić pościel, dać czyste prześcieradło i poszewkę na poduszkę.

— *Gospodynie*! wszystko jest jeszcze u praczki. Jutro dopiero ma przynieść.

A niechże cię djabli wezmą z twojém jutrem, pomyślałem sobie—i z chrześcijańską rezygnacyją poddałem się konieczności, przeciwko któréj walka była niemożliwą. Zapytuję, czy mogę dostać koni do Majdan-Peku. Odpowiada mi że można. A więc postaraj się bym je miał jutro rano o siódméj godzinie.

Nie dowierzając wszakże memu szanownemu gospodarzowi, częstującemu mnie każdą razą *jutrem*, bojąc się by mnie nazajutrz i co do koni niém nie uczęstował, sam ruszam na pocztę.

Wchodzę. Pan naczelnik poczty zajęty jest mozolną pracą pisania. Po chwili, skończywszy niełatwe zadanie, zapytuje mnie czego życzę.

— Czy mogę dostać koni do Majdan-Peku?

— Możesz pan je mieć. Dzisiaj pan chcesz jechać?

— Jutro z rana o godzinie siódméj.

— Dobrze, konie będą gotowe. Siodło pan masz?

— Jak to siodło?

— A tak, siodło, gdyż każdy musi mieć swoje; my siodeł nie mamy.

— Ależ ja nie chcę konno podróży odbywać, ja żądam koni z wózkiem.

— Tedy służyć panu nie mogę do Majdan-Peku jest tylko konna poczta.

Wyszedłem zły, widząc, że potrzeba losy swe powierzyć w ręce Rumuna gospodarza.

Była jeszcze pora dość wczesna, postanowiłem więc obejrzeć miasteczko.

Milanowac leży u stóp gór *Pekskich*, w położeniu bardzo malowniczém. Niewielkie to miasteczko, ma zaledwie 250 domów, z tysiącem kilkuset mieszkańców. Ludność przez pół jest serbska, przez pół rumuńska. Należy do okręgu *Krainskiego*. Jest w niém cerkiew, szkoła o trzech klasach, sąd, poczta. Przechodząc przez główną ulicę, a nie słysząc, jak tylko mowę rumuńską, byłem nieco zdziwiony, i pomyślałem na razie że informacya jaką miałem o Milanowcu, a która mówiła, że połowa mieszkańców jego jest serbska—była mylną. To też spotkawszy się z miejscowym inżynierem, który w drodze do Negotina popasał w tym samym co ja zajeździe, zapytałem go, czy w Milanowcu Serbowie nie mieszkają?

— I owszem, odpowiada mi, połowa mieszkańców są Serbowie.

— Dla czegoż wszyscy mówią tu prawie wyłącznie po rumuńsku?

— Bo Rumuni nie chcą mówić po serbsku, dla tego Serbowie w stosunkach z Rumunami muszą mówić po rumuńsku.

(d. c. n.)

KOŚCIÓŁ Ks. BERNARDYNÓW
w Przeworsku.

Przeworsk, miasto w Galicyi, w obwodzie Rzeszowskim, nad rzeką Mleczką położone, szczyci się posiadaniem świątyni, któréj drzeworyt tu podajemy, należącéj do najstarszych i najpiękniejszych u nas pomników architektury.

Świątynię tę założył w roku 1394 Jan Tarnowski, wojewoda sandomirski, osadzając przy niéj zakon Bożogrobców, a ukończył budowę Rafał z Tarnowa, wnuk Jana, w roku 1473. Po zniesieniu zakonu Bożogrobców, już za rządów austryjackich, objęli ten kościół OO. Bernardyni. Jest on zbudowany w stylu gotyckim, z przymieszką stylu odrodzenia, i był w XVII wieku obwarowany murem z zębicami. Wieża czworoboczna stanowi wchód, a na niéj widne są ślady stromego dachu. Nawa główna i prezbyterium są równéj wysokości; boczne nawy są niższe, a sklepienie gwiaździste opiera się na sześciu kolumnach. Drewniane kapitele i ozdoby nadają świątyni charakter rokoko, jak również i wewnętrzne ozdoby. Znajduje się w niéj kilka celniejszych nagrobkowych pomników z XV wieku, jako to monumenta: Rafała Tarnowskiego, kasztelana wojnickiego, Anny z Szamotuł Tarnowskiéj, Michała Jazłowieckiego i inne. Pod kaplicą są groby Lubomirskich. W presbyterium znajduje się ciekawy obraz N. Maryi Panny z XV wieku, a przemalowany w 1773 roku. Godną jest także uwagi chrzcielnica spiżowa, w kształcie kielicha z r. 1400.

ALBERT (WOJCIECH) SOWIŃSKI.
Fortepianista i kompozytor.

Wojciech Sowiński urodził się r. 1805 w gub. pod., we wsi Łukaszówce, w powiecie hajsińskim. Pierwsze początki muzyki brał od ojca swego, niegdyś dyrektora muzyki pułku Malczewskiego, później pracował w Wiedniu pod kierunkiem Karola Czerniego na fortepianie, a pod kierunkiem A. Gyrowetza i Leiderdorfa w harmonji i kompozycyi. Wystąpiwszy pierwszy raz publicznie na teatrze *An der Wien* w koncercie J. N. Humla w 1828 r., wyjechał potém do Włoch, w celu dalszego kształcenia się w kompozycyi. Zwiedził Wenecyją, Medyolan, Boloniją, Parmę, Piacenzę, Rzym i Neapol. Dał się słyszeć bardzo korzystnie na koncertach i zachęcony oklaskami, po kilkomiesięcznéj podróży, przybył do Paryża, gdzie bez przerwy aż do téj pory, od czterdziestu lat mieszka.

A. W. Sowiński, jak wszyscy pierwszorzędni artyści, choć prowadzony przez dobrych mistrzów, sam sobie jednak winien talent i sławę. Trzymając się ściśle przepisów klassycznéj nauki, pomimo to, we wszystkich kompozycyach swoich zachował własną, swojską oryginalność, ten rodzinny dar natury, który rzeczywisty artysta najulubieńsze melodje, jako też i dumki, krakowiaki, kołomyjki, mazury i wiele innych.

Poczynając od r. 1830 do 1840, piękny to był czas dla fortepianu. Henryk Herz pisał wtenczas swoje *Airs variés.* Za nim poszedł i Sowiński, liczący się już do rzędu pierwszych forte-



Kościół ks. Bernardynów w Przeworsku. (Str. 100).

najlepiéj odgadnąć i rozwinąć potrafi. To też myśl zachowania tego swojskiego charakteru w muzyce, ta naturalna potrzeba przejęcia się tém co najmocniéj i najlepiéj czujemy, spowodowała Sowińskiego do wydania na wstępie swojego zawodu, śpiewek i piosnek rodzinnych, w tłumaczeniu francuzkiém.

Wydanie to dało poznać Francuzom, po raz pierwszy, nasze pianistów w Paryżu. Podróż jego do Londynu w r. 1835, koncerty publiczne, jako też i na dworze ówczesnéj księżnéj Kent, a matki teraźniejszéj królowéj angielskiéj dane, usłyszenie po raz pierwszy *Oratoriów* Haendla, mocne na młodym artyście sprawiły wrażenie i dały inny, nierównie głębszy polot myślom i utworom jego następnym.

Pierwsze prace Sowińskiego na fortepian, należą do formy przyjętéj wówczas przez *Humla*, *Fielda*, *Riesa*, *Kalkbrenera*, *Karóla Czerniego* i innych tego rzędu pijanistów. Dwa utwory z tego okresu odznaczają się większą oryginalnością: *Les Regrets*, duet na 4 ręce, na śmierć Emilji Plater, wykonany pierwszy raz z F. Lisztem, na koncercie u hr. Grabowskiéj — i *Invitation à la Mazurka*.

Następnie smutne koleje życia i doznane nieszczęścia, znacznie wpłynęły na grę naszego wirtuoza i nadały jéj więcéj melancholji, więcéj wyrazu tkliwych uczuć. Wielka fantazyja Othello, należy do najtrudniejszych z jego dzieł na fortepian. W częstych koncertowych wycieczkach po Francyi, gra jego świetna, mocna, robiła wielkie wrażenie, bo grał z gustem i uczuciem, porywany zwykle własném natchnieniem.

Zostawszy w r. 1842 nauczycielem muzyki w klasztorze panien „Les oiseaux," zaczął się przykładać do kompozycyj religijnych. Pierwsze jego dzieło w tym rodzaju wyszło pod tytułem: *Sześć śpiewów religijnych*, na 2, 3 i 4 głosy, z towarzyszeniem organów. Na samym końcu tego zbioru znajduje się *De profundis* na 4 głosy męzkie, które autor dla siebie samego napisał. Następnie idą: *Msza uroczysta* na 3 głosy z organami; *Oratorium Ś-go Wojciecha*, wydane w 1845 r. w Paryżu, a odegrane pierwszy raz w sali Herza 1847 r., przez pierwszych śpiewaków, z orkiestrą i chórami. Śpiew *Boga Rodzica*, dodaje temu utworowi nadzwyczajnego blasku. Jest to jedno z najlepszych dzieł Sowińskiego, za które w swoim czasie od Jana króla Saskiego, obdarowany został piękną tabakierką złotą; — *Missa brevis*, z C dur na 4 głosy z organami, napisana w r. 1870; *Poświęcenie Abrahama*, oratorium biblijne na 4 głosy, z organami; *Veni creator*, hymn na 3 głosy z organami; *Msza na 4 głosy* z organami; *Sąd Salomona*, motet na 3 głosy, solo, chór, z towarzyszeniem orkiestry. Partycya wielka, niewydana, znajdująca się w bibliotece Instytutu Muzycznego w Warszawie; *Msza uroczysta* z F minor, na 4 głosy solo, z chórem i orkiestrą; *Vota pulchra es*, motet na 4 głosy z A minor. Sowiński wydał także zbiór śpiewów kościelnych polskich, w małéj partycyi, z tłumaczeniem francuzkiém.

Między powyższymi utworami muzyki kościelnéj, wyszły liczne dzieła naszego artysty na fortepian, jak np: *Fantazya z Proroka* Meyerbera, *Elegia* na śmierć Mickiewicza, *Invocation* i w. i. Z nowszych kompozycyj na sam fortepian wzmiankować można: *Gigue ecossais* rodzaj tańca, *Biedna matka* elegija, *Powrót kochanka* i t. d. Z utworów dramatycznych napisał: *Lenore*, dramat liryczny w 2-ch aktach, *Le Modèle*, opera komiczna w 1-m akcie, *Une scène sous la ligue*, także opera komiczna w 1-m akcie. Z muzyki salonowéj zasługują na uwagę: *Trio z H. minor*, *Kwintet z E. dur* i *Nonetto z fis major*. Dzieło to należy do najlepszych tego rodzaju kompozycyj.

W ogólności, prace muzykalne Sowińskiego, jak to już wspomnieliśmy, noszą na sobie piętno tęsknoty i rodzinnéj swojskości.

Ale nie dosyć na tém. Znakomity nasz ziomek nietylko zdobył sobie miano prawdziwego wirtuoza i kompozytora, lecz zasłynął również jako myśliciel, jako mąż wiedzy i nauki, przez swoje prace literackie. Owocem tych prac, pominąwszy drobniejsze, jest wielkiéj wartości *Słownik muzyków polskich i słowiańskich*, wydany roku 1857, w jednym tomie in 8-vo, o 600 stronnicach, w języku francuzkim, a to w celu zapoznania obcych z muzykalnymi naszymi talentami. *Słownik* Sowińskiego wylicza i opisuje do tysiąca artystów polskich, których życiorysy odznaczają się szczególnie dokładnością dat i katalogów. Brakuje w nim tylko szczegółowego ocenienia dzieł muzycznych z XVII i XVIII wieku, jako mało znanych. Część historyczna za to, do najodleglejszych odnosząca się czasów, bardzo dobrze jest opracowaną. Oprócz tego w 1869 r. wydał po francuzku dzieło o życiu i pracach Bethowena, tłumaczone z niemieckiego, z muzyką, portretem i autografami, które wielkiego doznało powodzenia, — w roku zaś 1870 wydał tłumaczenie historyi Mozarta.

Miejmy nadzieję że nie jest to już ostatni utwór Sowińskiego, — Sowińskiego, który nie pojmuje co to jest bezczynne życie, ale który ciągle albo pisze, albo gra — albo urządza koncerty.

K. D.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

W izdebce, do któréj zaglądnąłem, ujrzałem moję Helenkę.... Krew mi uderzyła do głowy z radości i dziwnego wzruszenia, a serce tak mocno bić poczęło, iż zdawało mi się że z piersi się wydrze... Helenka była śmiertelnie bladą, a na śliczněj twarzyczce jéj znać było ślady przebytego cierpienia... Liczka jéj, tak pełne i rumiane dawniéj, tak uśmiechające się swobodą i wesołością, zapadły jakby po ciężkiéj słabości; koralowe usteczka wyglądały jak pączki różane, więdnące przed rozkwitem...

Ubraną była widocznie do ślubu: cała w bieli, z wiankiem na głowie... Objąłem ją spojrzeniem i oczu od niéj oderwać nie mogłem... Co się działo w mém łonie, opisać nie zdołam... Przejmowały mnie równocześnie i uczucia radości i dreszcze gniewu i żałosne jakieś wzruszenia...

Stałem chwilę nieruchomy i zapatrzony, a im dłużéj przyglądałem się mojéj odszukanéj kochance, tém więcéj wyczytywałem smutku i cierpienia na nadobnéj jéj twarzy... Główkę pochyliła ku ziemi, jakby w bolesnéj zadumie, oczy jéj łzami zaszły, a z pod bieli wznosiła się i opadała jéj pierś, pod wpływem ciężkiego wzruszenia.

Widok Helenki tak wyłącznie zajął był wzrok mój, że dopiero po chwili dostrzegłem, iż nie była w pokoju sama. Ujrzałem tuż przed nią wysokiego i bladego mężczyznę, który coś do niéj żywo przemawiał.

Był to młody Szalborski.

Ubrany był bardzo strojnie i bogato, a na piersiach swych miał bukiet weselny. Nie trudno mi było odgadnąć, że to on w całéj téj podłéj komedyi odgrywa rolę pana młodego...

W drugim kącie pokoju siedziała w staroświecko-strojnym, wzorzystym i barwistym ubiorze, ozdobnym mnóstwem wstęg i kokard jaskrawych, panna Kokorzyńska i zanosiła się biedaczka od płaczu....

Nie mógłem słyszeć ani słówka z rozmowy, którą widocznie młody Szalborski prowadził z Helenką. Domyśléć się tylko mógłem z jego ruchów i z wyrazu jego twarzy, że albo nalegał, albo żywo coś perswadował. Helenka słuchała blada i drżąca, a od czasu do czasu poruszały się jéj usta, lecz nie mógłem poznać, czy ulatywały z nich słowa, czy jęki boleści...

Widziałem daléj jak młody Szalborski ukląkł przed nią, jak uchwycił jéj dłoń i pocałunkami ją okrywał.... Potém podniósł się, ujął ramieniem kibić Helenki i usiłował podnieść ją z krzesła, a ona opierała się i z głową pochyloną chwiała się jakby w zemdleniu...

Dość było dla mnie tego widoku.

Uczułem, że nadeszła stanowcza chwila. Drżałem cały jak w febrze. Od wzruszenia gwałtownego serce i głowa kipiały.

Ani czas, ani usposobienie moje nie były potemu, aby się namyślać długo. Instynktem tylko raczéj, niż skutkiem rozmysłu, obmacałem pistolety czyli są u pasa w pogotowiu... Uchwyciłem nagle i z wielką siłą okiennice, rozerwawszy w jednéj chwili średnie zawiaski i roztworzyłem je. Blask światła oblał mnie pełną strugą, stałem już teraz przed gołemi szybami. Okienka były małe i o pojedynczych tylko ramach.

Ująłem ramy silnemi dłońmi z dwóch stron i jedném a nagłém i gwałtowném pchnięciem, wysadziłem całe okno...

Łomot okropny się zrobił, szkło z głośnym brzękiem padło w środek pokoju. Wtéjże saméj chwili wskoczyłem przez okno i znalazłem się przy Helence...

Nie mogę opisywać wrażenia, jakie sprawiło to nagłe przybycie niespodziewanego gościa, bo tego już sam widziéć nie mógłem. Usłyszałem tylko potrójny okrzyk przestrachu...

Mimo formalnego szału, w którym się znajdowałem, miałem tyle przytomności — i dziwię się temu dziś jeszcze — że zaraz stanąłem u drzwi, które, jak zmiarkować mógłem, prowadziły do sąsiednich pokoi; domyśliwałem się bowiem, że tam znajdować się musi całe grono weselnéj drużby.

Stanąwszy tak u drzwi i przyparłszy je barkami, rozpatrzyłem się dopiero po izbie.

Oczy moje spotkały się z oczyma Helenki....

Helenka spojrzała na mnie z lękiem, lecz w téjże saméj chwili poznała mnie.

Z piersi jéj uleciał głośny wykrzyk, oczy rozpłonęły żywiéj, ręce wyciągnęły się ku mnie... Porwała się z krzesła i nagłym, jakby bezwiednym ruchem, posunęła się naprzód, ale zaraz zachwiała się i znowu na krzesło upadła...

— Józef!—zawołała, padając bezwładnie.

— Tak, to ja, ja! Józef, Helenko moja!—odpowiedziałem.

Chciałem się rzucić natychmiast ku niéj, ale poczułem za sobą silne naciśnienie drzwi. To goście weselni, przerażeni łomotem wysadzonego okna i impetem mego wtargnięcia, usiłowali dostać się do pokoju. Natychmiast przyparłem drzwi jeszcze silniéj i na żelazny haczyk, który wisiał przy nich, zamknąłem.

Uczyniwszy to chciałem pobiedz do Helenki, która zemdlała była z nagłego i gwałtownego wzruszenia. Wtém, nagle ujrzałem przed sobą młodego Szalborskiego, który z dorwaną gdzieś z podręcza szpadą, stanął między mną i Helenką, i godząc we mnie ostrzem, wołał z całéj piersi:

— Na pomoc! Hejże! do mnie panowie!

Czułem że mi grozi wielkie niebezpieczeństwo i że powtórnie przyjdzie może mi uledz przemocy i pozostawić Helenkę na łup łotrom...

Ale myśl ta zamiast mnie przerażać, wzbudziła we mnie tylko szaloną odwagę.

Rezygnowałem się chętnie na śmierć, byle nieść ratunek Helence i własnemu uczuciu zemsty pofolgować...

— Opryszku!—zawołał młody Szalborski, nacierając na mnie impetycznie szpadą.—Czego tu chcesz?... Uchodź zaraz, albo cię jak psa zakłuję.

— Obaczymy!—zawołałem z wściekłością—Mości Szalborski, łotrzyku nikczemny!

— Ratuj się! woła on daléj, godząc we mnie szpadą—uciekłeś z pod straży więzienia! Jesteś zgubiony, bo albo poleżesz z méj ręki, albo cię towarzysze moi wydadzą pod kryminał.

— A nie sycz gadzino! — krzyknę ja na to i całą forsą wypadnę ku niemu z moją szablą.

— Do mnie! na pomoc!—zawołał pan młody.

I z ciężką tylko biedą podtrzymał uderzenie méj szabli.

Słyszę jak drzwi, wypierane przez kilkanaście rąk razem, zaczynają pękać i z trzaskiem się poddawać...

Lada chwilka mogą wpaść do izby towarzysze weselni, a wtedy uledzbym musiał przemocy!

Rzucę się tedy z całą wściekłością moją na młodego Szalborskiego.

— Wołajże, wołaj wisielcze! Niechaj wejdą, ale już ci wtedy felczer nie pomoże!—wołałem rozżarcie.

Szalborski broni się jak może, ale daremnie. Byłem rębaczem nielada, a namiętność zmieniła mnie w olbrzyma.

Nacieram na niego z furyą okrutną; razy lecą jak pioruny na jego rożenek, on zaś, choć jak widać gracz na szpady, nie dotrzymuje żelazu, umyka, chwieje się...

— A tuś mi infamisie obrzydły! — wołam, przyciskając go do muru.

W téj chwili płatnę go tak silnie po ramieniu, że krew go oblała i szpada na ziemię się potoczyła...

Szalborski krzyknął z bólu i wściekłości.

— Morderca!—wołał—Pomocy!

Drzwi od drugiego pokoju były blizkie wyłamania.

Towarzysze młodego Szalborskiego przypuścili szturm do nich walny. Na szczęście moje drzwi były to dębowe i mocno osadzone....

Nie na długo to jednak mogło pomódz, bo już się całkiem poddawać zaczęły... Jedna chwila tylko — a sukurs mógł nadejść Szalborskiemu.

Przyłożyłem ostrze méj szabli do piersi pana młodego i zawołałem:

— Milcz, żmijo, bo cię na wylot przeszyję!

I kto wie czy byłbym nie dotrzymał słowa, gdyby nie odezwał się we mnie wstręt do zabójstwa, mającego się spełnić na bezbronnym już człowieku.

Rzuciłem na bok szablę i przypadłem już tylko z gołemi dłońmi do swego przeciwnika. Zerwałem mu najpierw bukiet weselny z piersi, potém uchwyciwszy go silnie, powaliłem na ziemię...

Z głuchym stukiem obalił się Szalborski, a ja wtedy stanąłem mu stopą na piersiach i wydobywając pistolet, odciągnąłem kurek.

Potem zwróciłem się ku drzwiom i zawołałem głośno:

— Moi panowie! Proszę o chwilę spokoju! Chodzi tu o życie człowieka, waszego towarzysza!

Na te słowa głośne i energicznie wyrzeczone, przestano w drugim pokoju wyłamywać drzwi na chwilę.

Wtedy wołałem daléj:

— Nie znam was, kto jesteście i trzymam was za ludzi honoru, choć jesteście drużbą łotra! Nie jestem opryszkiem, ale przychodzę tu właśnie dla tego, aby wyrwać zdobycz opryszkom. Słyszycie!

Potwierdzono mi to milczeniem.

— Otóż mam u nóg mych pana Szalborskiego — ciągnąłem daléj—jak wam to sam potwierdzi.

Tu spojrzałem na młodego Szalborskiego i zapytałem go groźnie:

— Czy tak? (d. c. n.)

WIĄZANKA.

Cieszmy się. Jest nadzieja że niedługo wszystkim nam zabłysną miodowe miesiące.—Ho, ho, ho, cóż znowu? jak, co, gdzie, kiedy?.. miodowe miesiące dla wszystkich?... e, dosyć już tych żartów. Ależ tak jest; tylko że to co piszę, proszę brać literalnie, nie zaś poetycznie i matrymonialnie, a przekonamy się, że nie jest to znów rzecze tak niepodobna. Miodowe miesiące mieliśmy już nawet u siebie blizko przez tysiąc lat, począwszy od ojca bartników naszych Piasta, a skończywszy na chwili w której dzbany miodu, wraz z puharami i roztruhanami, zastąpione zostały przez gorzki napój Gambrinusa — piwo bawarskie, ostrygi, żaby i szampan. Tak, mieliśmy u siebie miodowe miesiące... Bez miodu nie obyły się dawniéj ani chrzciny, ani wesele, ani pogrzeb, ani kulik, bójka, rada, zwada, jarmark i odpust, a pasiek mieliśmy daleko więcéj, niż dzisiaj krzyżów na drogach. Mimo to jednak cieszmy się, bo jak widać niezupełnie jeszcze popsuliśmy sobie smak i podniebienie, kiedy Stowarzyszenie pszczolarzów Warszawskich nadobre myśli zająć się rozwojem u nas pszczolarstwa, a zatém i produkcyą miodu i wosku. Dnia 17 b. m. wypracowano w tym celu projekt ustawy rzeczonego Stowarzyszenia, którego zasadnicze punkta są następujące: że Stowarzyszenie pszczolarzy będzie miało na celu wykształcenie zdolnych kierowników pasiek, — pośredniczenie w sprzedaży produktów pszczolnych, wyprodukowanych w pasiekach stowarzyszonych, — wpływanie ne rozpowszechnienie wiadomości pszczolarskich w kraju, pomiędzy wszystkimi stanami, — zajmowanie się przygotowaniem ulów i modeli takowych,—wydawanie pisma i dziełek specyalnie poświęconych pszczolnictwu — i wyznaczenie nagród pieniężnych oraz medali na urządzanych przez siebie wystawach, oraz na wystawach rolniczych krajowych, dla tych, którzy się odznaczą w pszczolnictwie. Stowarzyszenie składać się będzie z członków rzeczywistych, korespondentów i honorowych. Do pierwiastkowego składu wejdą członkowie założyciele, których się dotąd zapisało 82, z funduszem zakładowym 2050 rs. Wypuszczonych będzie także 6000 akcyj, każda po 5 rs., a po 5-ciu latach wydaną zostanie dywidenda i rozpocznie się losowanie akcyj. Ha, kto wie? może znów będziemy wyrabiali własny nektar, może będziemy palili na ołtarzach własne światło — może znów będziemy mieli miodowe miesiące...

Dnia 18 b. m. w wigilię imienin *Józefa Keniga*, Redaktora *Gazety Warszawskiéj*, na uczczenie trzydziestoletniéj jego pracy dziennikarskiéj, miał miejsce składkowy obiad, w sali doliny Szwajcarskiéj, dany przez przyjaciół i towarzyszów pracy jubilata. Przyznam się otwarcie, że z początku z ironią spoglądałem na setki rubli zbieranych na ową owacyą i pilnie nadstawiałem ucha ażali znów nie odezwie się kto z projektem zakupienia jakich np. srebrnych kandelabrów;—ale ponieważ koniec wieńczy dzieło, więc pomimo wszelkich z méj strony uprzedzeń, wyznać muszę bezstronnie, że ze wzruszeniem i uwielbieniem przychodzi mi wspomnieć o tym dniu pamiętnym dla p. Keniga. Pominąwszy mowy panów K. W. Wójcickiego i K. Kucza, pominąwszy nawet znakomitą przemowę samego jubilata, niepodobna mi zamilczeć o koronie téj uroczystości, o prawdziwie obywatelskiém znalezienia się p. *Józefa Ungra*, Wydawcy *Tygodnika Illustrowanego* i *Wędrowca*. Pan Unger wniósł projekt składki na stypendium dla niezamożnego studenta Warszawskiego Uniwersytetu pod nazwaniem: *Stypendium Józefa Keniga*, i na początek sam złożył znaczną kwotę. W krótkich chwilach zebrano poważną sumę i oddano ją do rozporządzenia p. Ludwikowi Jenike, Redaktorowi *Tygodnika Illustrowanego.* Nie koniec na tém. P. Wincenty Majewski, Mecenas, zaproponował na tenże sam cel, ułożenie z prac literatów warszawskich zbiorowego dzieła. Projekt przyjęto jednomyślnie, a p. Józef Unger, z szlachetną zazdrością, nie dając się wyprzedzić nikomu w sprawie ogólnego dobra, podjął się wydrukować darmo powyższe dzieło, we własnéj drukarni.

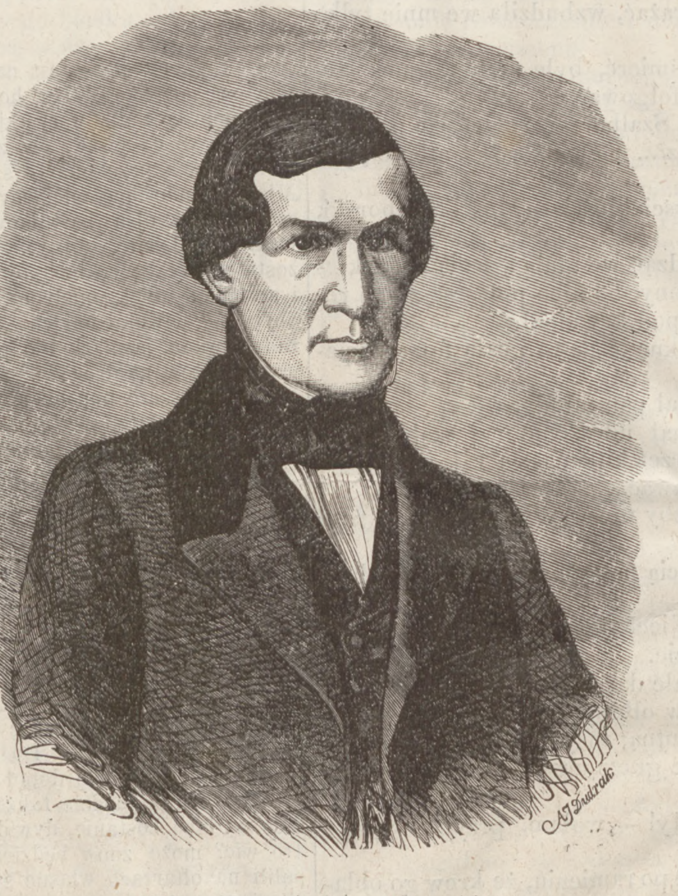
Takie przepędzanie czasu, takie owacye, takie podarki na uczczenie czyichś zasług i talentów—to pojmuję...

W dodatku do Nr. 53 *Gazety Polskiéj* z r. b. znajdujemy bezimiennie napisany artykuł p. t. *Ogrody owocowe.* Autor, żaląc się słusznie na drożyznę u nas owoców, doprowadzoną do tego stopnia, że pomarańcza mniéj kosztuje niż gruszka, upadek ogrodnictwa przypisuje najprzód dzierżawcom owoców, tak zwanym sadowym, a następnie wszystkim klasom ludzi, wyjąwszy dworom szlacheckim. Że w ogrodnictwie i sadownictwie, jak w wielu innych rzeczach, z których moglibyśmy znakomite ciągnąć korzyści, zaniedbaliśmy się strasznie i zostajemy prawie w tak zwanym stanie natury, czekając aż nam same gołąbki wpadną do gąbki,—że sadowi nas niszczą,—że służba, dzieci i lud wiejski nie mają wyobrażenia o prawie własności,—że brak u nas pod tym względem dobroczynnego działania oświaty, prawa i kar pieniężnych na niesumiennych szkódników,—że ani księża, ani nauczyciele nie oddają u nas pod tym względem takich usług jak np. w W. Ks. Poznańskiém, gdzie jako ukształceńsi, kładą w głowy tak dzieciom jako i dorosłym, przy każdéj sposobności, zdrowe, racyonalne pojęcia o obowiązkach, nie zaś same ogólniki o niebie i piekle—wszystko to prawda. Ale, żeby ze wszystkich klas same tylko dwory szlacheckie, co do upadku ogrodów owocowych, okazały się niewinnymi—to nieprawda. Jednakowo nad ogólném dobrém czuwać powinien tak szlachcic, jak nauczyciel, ksiądz i urzędnik. A jeżeli zapomnieli o swém posłannictwie ci ostatni, niemniéj zapomniały u nas o niém także i szlacheckie dwory. Winni jedni, winni i drudzy. Winniśmy wszyscy i wszyscy też z bardzo wielu rzeczy koniecznie musimy się poprawić. Co to znaczy że przy jakimś tam dworze ogród wygląda lepiéj niż u kmiotka, księdza, lub mieszczanina. Pozór, parkan, efekt, kwiatki i klomby, to jeszcze nie ogrodnictwo, nie przemysł, nie źródło krajowego bogactwa...

Odczyty na korzyść niezamożnych studentów tutejszego Uniwersytetu, idą daléj przepisanym porządkiem, dosyć pomyślnie. Szyby może pomyślniéj, gdyby niektóre z nich nie były zbyt specyalne dla publiczności.

W d. 12 b. m. p. Dziewulski, miał także odczyt w Zakładzie nauki dla kobiet „O elektryczności, magnetyzmie i galwanizmie,“ — a w dniu 19-m pan Bogucki Adolf, w sali Warsz. Tow. Dobroczynności: „O jedwabnictwie.“ Rzeczywiście, ogół nasz mało co, a prawie nic nie wie o téj gałęzi przemysłu. Jedni za drugimi powtarzają bezwiednie, że morwy są niestosowne dla naszego klimatu, że zatém jedwabnictwo nigdy u nas nie da się zaprowadzić na serio. Tymczasem tak nie jest. Morwy należą do najwytrzymalszych drzew, bo nawet 30 stopniowe mrozy nic im nie szkodzą. I kiedy w dwóch ubiegłych zimach mnóstwo drzew owocowych wymarzło, morwom jednak nic się złego nie stało. Jeżeli więc jedwabniki mają zabezpieczony pokarm, nie ma już do zaprowadzenia u nas jedwabnictwa żadnych trudności. Potrzeba tylko chęci, umiejętności i pracy. W Prusach np. nauczyciele wiejscy, przyuczając dzieci do hodowli jedwabników, znaczne ze sprzedaży kokonów otrzymują zyski, a drzewami morwowemi obsadzają nietylko ogrody, ale nawet drogi, planty kolei, cmenterze i t. p. Podobne naśladownictwo byłoby u nas bardzo pożądaném i korzystném. Spodziewam się, że Warszawska Spółka jedwabnicza działalnością swoją zaradzi temu brakowi i pokaże mieszkańcom tutejszego kraju jakie to bogactwo mieć można z małych i nic prawie na oko nie znaczących robaczków; notabene, nie krępując się wcale krotochwilami tych którzy mówią, że wszystko im jedno jakie będą mieli chustki do nosa—krajowe, czy zagraniczne.

Koncerty mnożą się jak grzyby po deszczu. Wśród wiela innych zasługują na uwagę: koncert panny *Maryi Mecenseffy* w Resursie Obywatelskiéj;—pani *Klary Block* w sali Harmonji; — koncert na korzyść biednych bractwa S-go Wincentego a Paulo, w Resursie obywatelskiéj; — p. *Adama Hermana*;—p. *Sonenfelda* w Dolinie Szwajcarskiéj;—i p. *J. Wieniawskiego*. — Z prowincyi donoszą nam także o koncertach: w Żytomierzu p. *Władysława Lubińskiego*, — w Piotrkowie p. *Izydora Lotto*,—w Włocławku panny *Maryi Pławskiéj*, ze współdziałaniem p. *Michała Jankowskiego.*



A. W. Sowiński. (Str. 100).

Z *teatralnych* rzeczy niewiele mamy do zanotowania.

Na korzyść Towarzystwa Dobroczynności, w Teatrzyku tegoż Towarzystwa, odbyły się z wielkiém powodzeniem, sceniczne amatorskie przedstawienia, jak to co rok w Warszawie ma miejsce.

Smutną za to podzielić się musimy z czytelnikami wiadomością, że niedługo panna M. Kwiecińska, ozdoba tutejszéj opery, któréj głosem zachwycaliśmy się tyle razy, ma nas podobno opuścić. Oby ten projekt nie przyszedł do skutku...

Artyści opery włoskiéj przedstawili w teatrze Wielkim, arcydzieło Meyerbera, *Hugonotów*.

Komedya M. Bałuckiego *Pracowici Próżniacy*, uwieńczona drugą nagrodą na ostatnim konkursie w Krakowie, odegraną została z powodzeniem na tamtejszéj scenie. Toż samo i komedya Wołodego Skiby p. t. *Pół miljona*.

Z dziedziny *litaratury* zasługują na uwagę następujące fakta:

Biblioteka po ś. p. Zielińskim, znanym zbieraczu ksiąg i archeologu, licząca przeszło 6,000 tomów, nabytą została w tych czasach przez pana Mieczysława Puławskiego, właściciela dóbr Siążenice, w gub. Kaliskiéj.

Pan Eulog. Zakrzewski, na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk, wydziału historycznego w Poznaniu, odczytał kilka ustępów ze swego dzieła, p. t. *Lechija, studium etnograficzne*.

S. p. hr. Stadnicki utworzył we Lwowie fundacyą na *wydanie dokumentów historycznych*. Wezwane niedawno wszystkie miasta galicyjskie, aby przysłały do przejrzenia i użytku swe dyplomy, przywileje i t. p. nadesłały już dotąd kilkaset akt z rozmaitych wieków i różnéj ważności.

Towarzystwo archeologiczne w Moskwie postanowiło urządzić na wystawie politechnicznéj w Moskwie, 1872 r. oddział dla starożytności rosyjskich, na wzór „Muzeum Rosyjskiego,“ które było urządzone przy wystawie przemysłowéj w Petersburgu.

Pan Ernest Swieżawski ogłosił prenumeratę na dzieło p. t. *Zarysy badań krytycznych nad historyą Słowian do wieku X, a kraju naszego do wieku XV*. Pierwszy zeszyt, zawierający część rozprawy historyograficznéj p. t. Kronika Węgiersko-Polska, opuści prasę w początkach kwietnia.

Jak to już raz donosiliśmy, wydawnictwo *Encyklopedyi rolniczéj* nastąpi w tym jeszcze roku, pod kierunkiem p. *Edmunda Stawiskiego*, autora dzieła: *Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego*. Do komitetu redakcyjnego należą, prócz p. Stawiskiego, profesor Uniwersytetu Przystański i książę Jan Tadeusz Lubomirski.

P. Józef Szaniawski zajmuje się obecnie szczegółowém opisaniem bitwy zaszłéj pod Kaliszem d. 29 października 1706 r. między wojskami Karola XII i wojskami polskiemi Augusta II-go. Opis ten ma zamiar zamieścić następnie w *Kaliszaninie*.

Wyszedł z druku 2-gi zeszyt pierwszego kursu praktyczno-teoretycznéj gramatyki języka polskiego, przez Fl. Czepielińskiego, według metody genetycznéj, z zastosowaniem do programu szkólnego.

W *Bibliotece Warszawskiéj* za miesiąc Marzec, w kronice zagranicznéj znajdujemy bardzo ciekawy epizod z życia nieśmiertelnego wieszcza naszego Adama Mickiewicza, z czasów pobytu jego we Włoszech. W artykule tym, oprócz głównych bohaterów, jakimi są: Adam i Ewcia, występują także: Zygmunt Krasiński, Odyniec, H. Rzewuski i kilka innych podobnych im znakomitości zagranicznych.

Na zakończenie dzisiejszéj *Wiązanki* wypada nam jeszcze dodać o dwóch stratach, jakie poniosła Rosya w ubiegłym miesiącu:

W m. Charkowie zmarł d. 22 lutego znany botanik, członek wielu towarzystw, zasłużony profesor Uniwersytetu *Czerniajew* — a w Moskwie profesor *Sergiusz Zarańko*, należący do szczupłéj liczby znakomitych malarzy portrecistów.

△

Koniec kwartału I-go 1871 roku.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 15 (27) Марта 1871 г. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.